

PIOTR FILIPKOWSKI

Chłop polski w PRL-u (i potem) – doświadczenia, wartości, strategie. Analiza narracji biograficznych

„Czasem sobie myślę, co ja właściwie tę ziemię obchodzę? Co ona wie o mnie? Czy choć wie, że jestem? Czy wie, ile nóg po niej nawłóczyłem? Może nawet się ten świat wkoło zeszło, gdyby każdy krok tak policzyć. Albo i na tamten się już zaszło i dalej się idzie. Skibami, bruzdami, po radlankach, po ścierniskach, w deszczu, w chłodzie w spiekocie, w męce, wiosną, latem, jesienią, za kosą, za pługiem. I za czym? A prócz tego czy wie, ile się człowiek nauzerzał o nią, ile nanienawidzi?”

Wiesław Myśliwski, *Kamień na kamieniu* (Kraków 2008: 162)

Wprowadzenie: od kultury chłopskiej do autobiografii polskich rolników (i z powrotem)

Powyższy cytat nie pochodzi z żadnego z wywiadów biograficznych, który chciałbym w tych tekstach przywołać, lecz rozpoczyna jeden z rozdziałów książki Wiesława Myśliwskiego. Powieść, z której wyjąłem ów fragment, to *Kamień na kamieniu*, a rozdział, który on otwiera, zatytułowany jest po prostu *Ziemia*. Twórczość Myśliwskiego zaliczana bywała do literatury tak zwanego nurtu chłopskiego. Istotnie, w jego licznych książkach pisanych w ostatnim półwieczu tematyka chłopska powraca najczęściej i, by tak rzec, najmocniej.

Więcej – to nie tylko „chłopska tematyka” czy „chłopskie wątki” pisarskiej twórczości, lecz przenikliwy literacki obraz chłopskiej kultury w jej uniwersalnym czy egzystencjalnym wymiarze. Nie chodzi tam więc o pokazanie tradycji czy folkloru polskiej wsi, lecz o ukazanie chłopskiego doświadczenia i chłopskiego losu jako wariantu doświadczenia i losu ludzkiego – jakkolwiek patetycznie to dzisiaj nie zabrzmiał. W polskim przypadku nie jest to jednak, a przy-

najmniej do niedawna nie był, jeden z wielu wariantów losu, taki jak inne, lecz niejako tego losu wariant bazowy czy podstawowy, będący przez długi czas, jeśli nie nadal, najważniejszą matrycą kultury polskiej. Od tych literackich rozpoznań całkiem już blisko do socjologicznych i antropologicznych interpretacji kultury polskiej jako kultury chłopskiej. Ale o tym za chwilę.

Kamień na kamieniu Myśliwskiego ukazał się drukiem w latach osiemdziesiątych minionego wieku. Mniej niż sto lat wcześniej powstał inny przenikliwy literacki obraz polskiej kultury chłopskiej – powieść *Chłopi* Władysława Reymonta. Co znamienne i warte tu przypomnienia – to jedyna polska powieść, która w 1924 roku zdobyła literacką Nagrodę Nobla (trzy pozostałe nagrody noblowskie przyznane Polakom w dziedzinie literatury wskazywały na „całokształt twórczości” – prozatorskiej: Henryka Sienkiewicza, poetyckiej: Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej).

Poetyka cytowanego tu fragmentu – jak i całej powieści Myśliwskiego – sugerować może, że jej fabuła osadzona jest w jakichś odległych czasach. A może nawet poza konkretnym historycznym czasem, w niedookreślonej, zmitologizowanej przeszłości, jeśli nie „odwieczności”. To jednak pozór, bo mimo braku precyzyjnego datowania nie mamy wątpliwości, że świat w niej przedstawiony to świat polskiej wsi powojennej – w przybliżeniu środkowego PRL-u. Wsi, która doświadcza intensywnych procesów modernizacyjnych, która jest świadkiem rozpadu tradycyjnej kultury chłopskiej, rozpadu zapowiadającego już jej kres (znamienne, że motywem przewodnim książki jest budowa grobu przez głównego bohatera – narratora).

Kultura ta – pomyślmy o niej przez moment substancjalnie, jak o bycie samoistnym, nawet jeśli taka optyka jest nie od dzisiaj w antropologii w wyraźnym i nieźle uzasadnionym odwrocie¹ – nie odpuszcza jednak łatwo, nie oddaje swego pola bez walki. I to nawet tam, gdzie sama wieś ulega wyraźnym, jeśli nie gwałtownym zewnętrznym zmianom. Ta kultura „pracuje” nadal, na głębszym, „wewnętrznym” poziomie. Także biograficznym, jeśli za biografię brać nie tylko to, co uświadomione i opowiedziane, ale też to, co doświadczone i przeżywane. A jeszcze bardziej – *jak* doświadczone i *jak* przeżywane. Ta chłopska kultura odcisnęła się bowiem mocnym śladem nie tylko na poziomie przeżywanych „chłopskich” doświadczeń czy nawet sposobów ich rozumienia i nadawania im sensu, ale też mocniej czy głębiej właśnie: wykrystalizowała dosyć stabilny i trwały zestaw kategorii do interpretacji „całego” świata i swojego w nim miejsca, swojego losu. Zresztą już sama kategoria losu czy znaczeniowo

¹ Jedną z wczesnych manifestacji tego odwrotu od używania pojęcia kultury jest wielokrotnie przedrukowywany w różnych antologiach tekst Lili Abu-Lughod pod buntowniczym tytułem *Writing Against Culture* (pierwodruk w: Fox, Richard G. 1991: 137–162).

jej pokrewna – doli (i niedoli), należy do tradycyjnego semantycznego wyposażenia tej kultury.

Tym, co owe „chłopskie” kategorie, a przynajmniej wiele z nich, miałyby łączyć i wyróżniać, jest ich swoista konkretność, gęstość, esencjonalność. To pojęcia posiadające bardzo uchwytne, widzialne, „realne” desygnaty. Tak nieraz przesycone ową realnością i konkretnością, że zyskujące znaczenie nad-realne, symboliczne, także religijne. W języku filozoficznym, możemy powiedzieć o wyraźnym napięciu – ale też stałym przenikaniu się, uchwytym jak chyba nigdzie indziej – między realizmem, naturalizmem, pragmatyzmem tej kultury – a jej esencjalizmem. Dobra literatura i antropologia chłopskiego świata te cechy dawno zresztą zauważyły i opisały – zapewne wzmacniając je i wyostrzając².

Ziemia zajmuje szczególne, najważniejsze, miejsce wśród tych kategorii chłopskiego języka i chłopskiej kultury. Związek z ziemią jest wyznacznikiem chłopskiego życia, chłopskiego losu – na dobre i na złe. Ziemia nie jest bowiem rzeczą, jak inne, nie jest zwykłym warsztatem pracy czy miejscem do życia podobnym do innych. Jest tym wszystkim po trochu, ale – ujęta antropologicznie – bywa czymś znacznie więcej: sprawczą siłą, która kształtuje chłopski los. Literacki cytat, od którego zacząłem wydobywa tę właśnie sprawczość i podmiotowość ziemi. Choć brzmi archaicznie, bez trudu dałby się przepisać na bardzo aktualne i atrakcyjne dzisiaj (jeszcze) teorie współczesnej humanistyki (w tym tzw. posthumanistyki) podkreślające kulturową i społeczną (a nie tylko materialną) realność i sprawczość rzeczy – nazywanych teraz bardziej uczenie albo tajemniczo: podmiotami albo aktorami albo – jeszcze dziwniej: agensami – nie-ludzkimi (m.in. Bruno Latour, Bjørnar Olsen).

W kulturze chłopskiej ziemia była więc bez wątpienia jednym z najważniejszych nie-ludzkich aktorów. Nie-ludzkich, ale – jak wyjściowy cytat również pokazuje – silnie antropomorfizowanych. Oddziaływała więc jakby na dwa powiązane ze sobą sposoby: materialny, rzeczowy, niejako bezpośredni, choć niekoniecznie jawny, oraz symboliczny – poprzez znaczenia i sensy, w jakie była wyposażana przez swoich „użytkowników”. Mówimy tu w czasie przeszłym: „była”, „oddziaływała”... Ale chłopci – jako rolnicy, farmerzy – nie zniknęli przecież zupełnie z polskiej kultury i społecznej struktury. Nadal też uprawiają swoją ziemię. Czy nadal wyznacza ona ich biograficzny horyzont? Czy nadal determinuje albo przynajmniej współokreśla ich los? Jak wygląda dzisiaj jej nie-ludzkie „sprawstwo”. A może nie ma już żadnego „chłopskiego losu”, tylko rozmaite życiowe wybory zorientowane na rozmaite cele, motywo-

² Literatura na ten temat jest bogata. Dla mnie ważną inspiracją do takiego spojrzenia na kulturę chłopską były teksty Wiesława Myśliwskiego i Rocha Sulimy. Zob. np. Myśliwski 2004; Sulima 1992.

wane różnymi, bardziej lub mniej uświadomionymi wartościami? Z tymi pytaniami – choć nie zamykam tu ich listy – chcę przystąpić do analizy trzech wywiadów „chłopskich”, które zarejestrowałem w ostatnich kilku latach w ramach różnych przedsięwzięć badawczych i dokumentacyjnych. Żadne z tych przedsięwzięć – to może istotna uwaga – nie było poświęcone „chłopskim losom”. Nie szukałem go więc – a jeśli znalazłem, to niejako przy okazji. Proponuję więc raczej kilka impresji badawczych (nie całkiem jednak dowolnych) niż jakąkolwiek systematyczną analizę.

Co więc takiego szczególnego znajduję w tych kilku biograficznych opowieściach chłopów (rolników, farmerów), co miałyby je istotnie odróżniać od wywiadów z przedstawicielami innych grup społeczno-zawodowych? Na pozór dużych różnic nie ma. Jeśli widać ich odrębność i specyfikę, to nie wydaje się ona większa od tej, jaka oddziela jedną wyrazistą grupę rozmówców od innej. A jednak zapisy tych rozmów (w tym zapisy audio, które wyraźniej rejestrują emocje rozmówców, znacznie mocniej ujawniają nadawane przez nich sensy) – te autobiograficzne teksty natychmiast odsyłają do bardzo wyrazistych kontekstów.

Pierwsze, najważniejsze odesłanie przygniata swoim ciężarem. A streszcza się ono w tezie, od której zacząłem, a która mówi, że kultura polska to kultura chłopska. Dziś – po kilkudziesięciu latach wdrażania rozmaitych projektów modernizacyjnych (zarówno „twardych”: industrializacyjnych i urbanizacyjnych, jak i „miękkich”, obejmujących sferę kulturową, symboliczną), ponad ćwierć wieku po przełomie roku 1989 i dwanaście lat po wstąpieniu do Unii Europejskiej, w czasach nie tylko kulturowej globalizacji – ta teza może budzić zdziwienie. A jednak co i rusz na serio powraca w polskiej naukowej refleksji oraz publicznej debacie – nawet jeśli jej sens jest dziś już inny niż 20, 50 czy 150 lat temu.

Chyba jeszcze częściej powraca w mniej kontrolowany i mniej zrationalizowany sposób – w postaci rozpowszechnionych, co i rusz odnawianych w różnych komunikacyjnych obiegach i chętnie podchwytywanych w codziennych rozmowach słów i fraz, będących znakiem obecności „kwestii chłopskiej” w polskim współczesnym kulturowym imaginarium.

Chyba każdy, kto uczęszczał do polskiej szkoły podstawowej w dowolnym mieście, usłyszał kiedyś pod czymś albo i swoim adresem popularną dziecięcą obelgę: „ty wieśniaku” albo „ty wiochmenie”. A może i zdarzyło mu się kiedyś nią kogoś obrzucić. Każdy przeciętnie kompetentny dorosły użytkownik języka polskiego zna też zapewne idiomatyczną frazę: „słoma z butów mu wystaje”. A pewnie też słyszał (a może i już używa) jej nowszą, skróconą mutację. Myślę o „słoikach” oczywiście – neutralnym kiedyś słowie używanym dzisiaj (póki obiegi medialne nie spopularyzują jakiegoś innego – na kolejną chwi-

łę) w nowym znaczeniu, na określenie młodych mieszkańców polskich miast, którzy nie oderwali się od swojego „prowincjonalnego” kulturowego zaplecza (bo przecież nie o konfitury od mamy ani miód od lokalnego pszczelarza tutaj tylko chodzi). Zresztą to zaplecze nie musi być wiejskie – znaczna część polskich miasteczek ma przecież (post)wiejski charakter, także przestrzenny, choć różnych regionów kraju dotyczy to w różnym stopniu.

Znamienne, że te kilka powyższych przykładów – a dodawać można kolejne – wskazuje na negatywne wartościowanie chłopskich korzeni naszej kultury. Więcej: są to próby ich napiętnowania. Można to też interpretować mocniej, w popularnym dzisiaj duchu analiz psychoanalitycznych odnoszonych do całych zbiorowości, w tym narodu czy społeczeństwa³, jako egzorcyzmowanie nieuświadomionych lęków przed powrotem tego, co wypierane, ale głęboko własne. Jeśli tak, to nie adresaci, lecz nadawcy takich i podobnych, także mniej dosłownych, antychłopskich i antywiejskich fraz, byłiby świadectwem intensywnej obecności „chłopskości” w kulturze polskiej.

To przykłady negatywów. Nie brakuje jednak pozytywów w naszym zbiorowym imaginarium – pozytywnych waloryzacji chłopskich, wiejskich skojarzeń. „Szynka Babuni”, „Serek Wiejski”, „Chłopskie Jadło”, „Powidła Swojskie” to tylko znakowe, pierwsze z brzegu przykłady komercyjnej obróbki naszych tęsknot za (wymagowaną) wiejskością, sielskością i autentycznością – tu akurat doznań smakowych, ale przecież nietrudno znaleźć przykłady z zupełnie innych kulturowych rejestrów.

Mówimy tu o trudno uchwytnym analitycznie poziomie zbiorowych wyobrażeń czy zbiorowej podświadomości. Tymczasem na chłopskie korzenie kultury polskiej przytaczane są też inne, dużo bardziej uchwytnie i wymierne dowody. Część argumentów ma wręcz ilościowy charakter. Niektórzy polscy socjologowie od lat wskazują na ogromną liczebność chłopów i ludności wiejskiej związanej z rolnictwem w strukturze społecznej Polski. W obrazowym zaokrągleniu i uproszczeniu mówi się o odwróceniu proporcji między ludnością wiejską a miejską „resztą” polskiego społeczeństwa w ciągu powojennego półwiecza. Przed drugą wojną światową około 70% ludności Polski stanowiła ludność wiejska, w przeważającej liczbie byli to chłopci oraz ich rodziny gospodarujący na niewielkim kawałku ziemi, ale też robotnicy rolni czy nawet mieszkańcy małych miasteczek, żyjący nadal raczej „wiejskim” rytmem, zanu-

³ Dwie ważne książki napisane w tym psychoanalitycznym teoretycznym „duchu”, które ostatnio ożywiły dyskusję o naszej najnowszej i nieco starszej historii, także tej „postchłopskiej” to *Przeźniona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej* Andrzeja Ledera (2014) oraz *Tantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą* Jana Sowy (2011). W tym kontekście szczególnie warto odesłać jeszcze do polemicznej recenzji Stanisława Obirka (2015: 710–717).

rzeni we wzorach kultury chłopskiej. W okresie powojennym, w ciągu zaledwie kilku dziesięcioleci, te proporcje uległy odwróceniu – około 30% Polaków żyje dziś na wsi, pozostali w miastach. Jeszcze bardziej zmniejszyła się liczba ludzi związanych z ziemią, z rolnictwem⁴.

Kilka lat temu ten stały urbanizacyjny trend ustał, dziś przeważają nawet migracje z miast na obszary wiejskie. Wieś pomału staje się alternatywnym wobec miasta miejscem do życia, ale dla nowych osadników jest to już zwykle życie według nowych, nowomieszczańskich wzorów – będących zresztą kolażem rozmaitych kulturowych skojarzeń (nowa, bardzo dziś popularna na polskiej wsi, szczególnie podmiejskiej, architektura „dworkowa” odsyła do jednego z takich wzorów – fantazmatu szlacheckiego, który czytać można jako kolejną próbę, estetycznie zwykle żalosną, rugowania „chłopa” – „panem”).

Przywołanie swoistego składu klasowego polskiego społeczeństwa – jego radykalnej rekonfiguracji i jakby odwrócenia – to oczywiście tylko sygnałne wskazanie na potencjalną doniosłość „kwestii chłopskiej” dla wszelkich analiz socjologicznych próbujących uchwycić najważniejsze procesy społeczne, jakie zaszły w polskim społeczeństwie w kilku powojennych dekadach. W tym proces zaniku kultury chłopskiej w jej dawnej, całościowej postaci (Myśliwski 2004). Także dla analiz biograficznych, które – jak tutaj proponowane – usiłują uchwycić szersze konteksty społeczne i kulturowe.

Tu dochodzimy do drugiej trudności, jaką widzę, przystępując do interpretacji moich wywiadów z kilkoma polskimi rolnikami. O ile pierwsza dotyczyła samej badanej rzeczywistości, trudności udźwignięcia jej dużych, żeby nie powiedzieć totalnych, uogólnień wobec cząstkowych i skrótowych, a nawet impresyjnym analiz zaledwie paru wywiadów, to druga dotyczy już samego kontekstu badawczego czy tradycji badawczej, w jakiej ta analiza się lokuje, a przynajmniej do jakiej nawiązuje – i to niezależnie od tego, czy takie nawiązanie tutaj otwarcie zadekretuję.

Najbardziej znana, klasyczna dzisiaj praca socjologiczna, jaka wyszła (częściowo) spod pióra polskiego socjologa – choć trudno uznać ją wprost za dorobek polskiej socjologii – to przecież *Chłop polski w Europie i Ameryce* Floriana Znanieckiego i Williama Thomasa. Niezależnie od wnikliwych merytorycznych rozpoznań dotyczących zderzenia polskiej kultury chłopskiej z amerykańską nowoczesnością, praca ta zainicjowała tradycję ekstensywnych badań biograficznych w polskiej socjologii. Nazywam je tu roboczo *ekstensywnymi*, ze względu na przyjętą metodę badawczą, ogrom uzyskiwanego każdorazowo materiału badawczego i sposób jego analizy. Były to bowiem badania oparte na tzw. pamiętnikach i innych „dokumentach osobistych” zbieranych w dro-

⁴ Zob. np. Wasilewski (1986[2001]).

dze konkursów czy odezwo ogłoszanych zwykle w tytułach prasowych skierowanych do danej grupy odbiorców. Ich adresatami byli najczęściej robotnicy i właśnie chłopci. Rozpoczętą przez Znanieckiego tradycję pamiętnikarskich badań biograficznych kontynuowali jego uczniowie – przede wszystkim Józef Chałasiński i Jan Szczepański, założyciele Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa. Chałasiński, sam mający chłopskie korzenie i szczególne wyczerpanie na tematykę wiejską, był jak wiadomo autorem monumentalnej pracy opartej na materiałach pamiętnikarskich *Młode pokolenie chłopów* (1938).

Ekstensywna, jak powiedziałem, była nie tylko metoda zbierania danych, ale także sposób ich analizy – szeroko pojęta i dość swobodnie rozumiana analiza treści, przyjmująca, za Znanieckim, teoretyczne założenie „współczynnika humanistycznego”. Tradycja ta przetrwała do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, pozostawiając po sobie pamiętniki kilkuset tysięcy Polaków – w dużej części polskich chłopów i rolników. Niestety większość tych materiałów nie została nigdy poddana żadnej pracy interpretacyjnej ani nie ujrzała światła dziennego. Znaczna ich część już nie istnieje – uległa zniszczeniu lub rozproszeniu. Po części dlatego, że polska socjologia zasadniczo straciła zainteresowanie tak rozumianą metodą biograficzną⁵.

Nowa metoda socjologicznych badań biograficznych, która – w dużej mierze za sprawą łódzkiego środowiska socjologów kultury – weszła w latach dziewięćdziesiątych do polskiej socjologii i na dobre się w niej zadomowiła, w niewielkim stopniu jest kontynuatorką tamtej tradycji badawczej. Na najogólniejszym poziomie teoretycznym (i instytucjonalnym – tu mamy najbardziej ewidentną ciągłość, wystarczy przypomnieć, że Józef Chałasiński i Jan Szczepański byli przez wiele lat związani z socjologią łódzką) można zapewne wykazywać jakiś rodzaj ciągłości, wszak mówimy tu ciągle o jakościowych badaniach społecznych, jednak konkretne inspiracje teoretyczne i metodologiczne są wyraźnie inne. Najogólniej mówiąc – „zachodnie”, przede wszystkim niemieckie⁶. To oczywiście żaden zarzut wobec tych nowych i coraz popularniejszych socjologicznych badań biograficznych (w opozycji do tych klasycznych, pamiętnikarskich, nazwałbym je *intensywnymi*). Chcę jedynie zwrócić

⁵ Dla porządku trzeba powiedzieć, że nie straciła go zupełnie, a konkursy pamiętnikarskie – na wzór tych klasycznych – ogłoszane były jeszcze zupełnie niedawno. Był nawet duży konkurs na pamiętniki chłopskie zorganizowany przez Instytut Gospodarstwa Społecznego Szkoły Głównej Handlowej, którego efektem jest piętnastotomowa publikacja zawierająca wszystkie otrzymane prace pod tytułem *Młode pokolenie chłopów polskich* (Warszawa 1996). Brakuje w niej jednak – co zrozumiałe – śladów pogłębionej pracy analitycznej, brakuje też – co niezrozumiałe – odwołań do tego monumentalnego wyboru źródeł w innych pracach socjologicznych czy antropologicznych. Ta, by tak powiedzieć, nieobecność obecnego potwierdza tylko rozpoznanie o zaniku tej tradycji badawczej.

⁶ Świetnie pokazuje to najnowsza antologia tekstów, zob. Kaźmierska 2012.

uwagę, że wraz ze zmianą teoretycznego zaplecza, techniki badawczej (najkrócej: zastąpienie pamiętnika wywiadem narracyjno-biograficznym) i sposobów analizy zebranego materiału (najprościej: wyostrzenie i ujawnienie narzędzi analitycznych, przynajmniej deklaratywne) nastąpiło, niejako przy okazji, przesunięcie tematyczne.

Polska socjologia biograficzna nowego nurtu – podobnie zresztą jak niezwykle i coraz bardziej popularna u nas w ostatnich latach historia mówiona (choć z odmiennych, zdaje się, powodów) – nie wykazują szczególnego zainteresowania doświadczeniem chłopów, rolników, farmerów. Nie widać książek, które by takie wywiady analizowały – albo chociaż zawierały ich szeroki wybór, nie słychać o realizowanych projektach badawczych poświęconych tej grupie ani nawet pojedynczych artykułach naukowych czy wystąpieniach konferencyjnych, których autorzy analizowaliby narracje biograficzne jej przedstawicieli (zob. „*Solidarność*” *Rolników 1980–1989* pod redakcją A. Kaczorowskiego). Skąd ten brak w społeczeństwie o rzekomo chłopskich korzeniach i jak wielu twierdzi, postchłopskiej mentalności i kulturze? Skąd ten brak w polskiej socjologii, której kamieniem węgielnym i znakiem rozpoznawczym, także za granicą, jest klasyczny *Chłop polski w Europie i Ameryce* Znanieckiego (i Thomasa)? Mamy wprawdzie w Polsce rozwiniętą, zaawansowaną, posiadającą solidne zaplecze instytucjonalne⁷ (acz pozostającą jakby na marginesach głównych nurtów dyscypliny) socjologię wsi, ale jej współczesny, empiryczny dorobek badawczy opiera się przede wszystkim na analizach ilościowych z jednej – a etnografii z drugiej strony. Metoda biograficzna, w jej obu wariantach, które wyżej zarysowałem – starszym, *ekstensywnym*, i nowszym, *intensywnym* – nie należy do jej aktualnego repertuaru. Natomiast współczesna polska socjologia o orientacji biograficznej, jakby nie chciała – a może dotąd nie potrafiła – podjąć tematów „wiejskich” i „chłopskich”. Nie pogłębiałm teraz tego rozpoznania⁸. Wskazuję tylko na trudność, jaką napotykałam, przystępując do analizy biograficzno-narracyjnych wywiadów z polskimi rolnikami.

Pora już jednak odstąpić od formułowania kolejnych zastrzeżeń, wskazywania na brak podręcznych i poręcznych kontekstów interpretacyjnych albo

⁷ Przykłady tej instytucjonalizacji to Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa Polskiej Akademii Nauk oraz instytuty i katedry socjologii wsi na różnych wydziałach polskich uniwersytetów i innych szkół wyższych

⁸ Odsyłam tu natomiast do początkowych fragmentów *Socjologii wsi polskiej* Izabelli Bukraby-Rylskiej dotyczących metodologicznego wyposażenia socjologii wsi. Autorka poświęca „metodzie pamiętnikarskiej” aż dziesięć stron otwierającego rozdziału, który konkluduje – mimo licznych krytycznych zastrzeżeń po drodze – wezwaniem do jak najszerzego wykorzystywania materiałów etnograficznych (monografii) oraz (auto)biograficznych; zob. Bukraba-Rylska 2008: 17–45.

ciężaru chłopskiej czy wiejskiej „sprawy” – przygniatającego, w zestawieniu z lekkością właściwego materiału badawczego, którym tutaj dysponuję. Potraktujmy więc te analizy jako wstępny szkic, badawczy zwiad, biograficzny rekonesans, który pomoże – mam nadzieję – chociaż zniuansować niektóre obiegowe wyobrażenia i uogólnienia, także te naukowe, o współczesnym polskim chłopie – rolniku – farmerze.

Mottem tych biograficznych, a zatem jednostkowych, indywidualnych weryfikacji – i wyzwaniem dla nich – niech będzie jeszcze jeden cytat z eseju Wiesława Myśliwskiego: „Nielicznym próbom dotarcia do prawdziwych źródeł tej [chłopskiej – P. F.] kultury stała na przeszkodzie niemożność oderwania się od widzenia chłopstwa li tylko w zbiorowym, społecznym planie, jako owego zbiorowego planu charakterologicznego, typowego elementu. Nie potrafią dostrzec chłopstwa jako człowieka w jednostkowym, egzystencjalnym wymiarze, naturalnie pozostającego, jak każda jednostka na tym świecie, w determinujących relacjach ze zbiorowością, w której żyje, która wpływa na jego wybory i sposoby zachowań, ze środowiskiem, w którym rodzi się i umiera” (Myśliwski 2008).

Stać się rolnikiem i nie przestać nim być

Zacznijmy więc od początku, od przyjrzenia się tym społecznym determinantom – i tym indywidualnym wyborom naszych rozmówców – które przesądziły o tym, że zostali rolnikami. Będę dalej mówić o trzech konkretnych osobach⁹. Analiza ich autobiograficznych narracji i formułowane przy tej okazji uogólnienia nie mają służyć naszkicowaniu, czy choćby przybliżeniu jakiegoś całościowego obrazu polskiej wsi w okresie PRL-u ani teraz. Nie są też próbą egzemplifikacji jakichś typowych wariantów polskich chłopskich biografii czy losów. Chodzi raczej o to – tylko tyle i aż tyle, można by dodać – by dostrzec, jak w tym, co indywidualne i niepowtarzalne, odbijają się szersze procesy społeczne i kulturowe, zawsze ponadindywidualne przecież. Albo historyczne, jeśli ktoś woli taką nadrzędną perspektywę. Bez przesądzania o ich doniosłości, natężeniu czy „rozkładzie”. Jeśli coś przytrafiło się tym trzem osobom albo chociaż jednej z nich – to przytrafić się też mogło innym. Jeśli coś jest dla nich ważne – to potencjalnie mogłoby być ważne także dla innych. Ale najczęściej nie chodzi o wszystkich innych – tylko o tych, w jakiś sposób podobnych so-

⁹ Będą to: 1) pan Franciszek, urodzony w roku 1955; 2) pan Waldek, urodzony w roku 1953; 3) pani Klara, urodzona w roku 1957. Imiona rozmówców, członków ich rodzin oraz innych bohaterów narracji – poza ogólnie znanymi i rozpoznawalnymi postaciami historycznymi i osobami publicznymi – zostały zmienione.

bie. Opowieść autobiograficzna – jak przekonuje biograficznie zorientowana socjologia (tak „stara”, jak i „nowa” – w tym kluczowym punkcie są akurat bardzo zgodne) jest dobrym sposobem, może najlepszym, jakim dysponujemy, by rozpoznawać napięcia i przejścia między tym, co jednostkowe, głęboko własne, egzystencjalne nawet, a tym, co wspólne, ogólne, społeczne/kulturowe/historyczne. Także między tym, co indywidualnie możliwe, a tym, co konieczne, strukturalnie nieuchronne – a przynajmniej dalece prawdopodobne.

Każdy z trójki rozmówców pochodził z rodziny chłopskiej. Przejęcie gospodarstwa po rodzicach – tak typowe dla kultury chłopskiej – wydaje się więc w ich biografii zdarzeniem zupełnie naturalnym. Nie ma w tym jednak nic „naturalnego” ani koniecznego. Odwrotnie, mówimy przecież o latach powojennych, o Polsce czasu intensywnej, radykalnej – przynajmniej w planach i deklaracjach – modernizacji. Tym bardziej zwracają uwagę społeczne i ekonomiczne mechanizmy albo i determinizmy, które naturalizują objęcie gospodarstwa po rodzicach.

To ja prawie jak ten Antek¹⁰. Miałem 5 lat, jak Antek. Tata nas sprowadził, tak jak powiedziałem był jeden budynek nie ogrodzony. A chciał, no starał się jak mógł, żeby jakoś ta rodzina, znaczy ziemię się zająć, ale i tą rodzinę utrzymać. No to normalnie pilnowałem świń na tym podwórku. No. Pilnowałem świń, żeby nie poszły do sąsiadów, to później szybko ogarnął, płot ogroził. (...) No i od małego właściwie się współpracowało z rodzicami. Nie raz wspominam, nie, właśnie z radością i wdzięcznością, że od małego rodzice nauczyli pracy (Franciszek, s. 3 transkrypcji).

Narrator obrazuje swoje dzieciństwo losem bohatera literackiego powszechnie znanego ze szkolnych lektur kilku pokoleniom Polaków. Dokonuje przy tym kilku istotnych przesunięć znaczeniowych. Książkowy Antek, żyjący w drugiej połowie XIX wieku w niedużej wsi pod zaborem rosyjskim, symbolizować miał ciężki los wiejskich dzieci, przymuszonych do ciężkiej fizycznej pracy w polu, niemogących się kształcić ani rozwijać swoich ukrytych i stłumionych talentów. Tymczasem nasz bohater przywołuje sytuację z lat pięćdziesiątych XX wieku, a swoją pracę w gospodarstwie rodziców określa jako ważną życiową lekcję, za którą rodzicom należy się wdzięczność. Literacki Antek, po wielu niepowodzeniach i upokorzeniach ostatecznie ucieka ze wsi i idzie w świat. Nasz narrator na wsi zostaje – zachowując przy tym wdzięczność wobec losu (i rodziców) za wytyczenie takiej życiowej drogi:

¹⁰ Oczywiście chodzi o *Antka* – znaną, także ze szkolnych lekcji, nowelę Bolesława Prusa wydaną w roku 1880.

To znaczy, tak się stało, że praktycznie, to złe słowo, nie zmuszony, ale tak się życie poukładało, rodzinne, że ja praktycznie/praktycznie teraz właśnie sobie przypominam dlaczego poszedłem też między innymi do zawodówki, nie było komu zająć się gospodarstwem, najstarszy brat był w seminarium w tym czasie, jeden był w technikum we Wrocławiu, jeden był w Hufcu w Sierpcu, no i tata podjął pracę w Cześni jako magazynier. Była sama mama no i nie było komu się gospodarstwem zajmować./ Teraz dopiero sobie odkodowałem dlaczego ja właśnie poszedłem też tutaj do zawodówki/ czyli praktycznie od ukończenia szkoły podstawowej to gospodarstwo jest na mojej głowie (Franciszek, s. 4).

Pozostanie „na gospodarce” i opieka nad rodzicami opowiedziana jest tu jako życiowa konieczność – którą autor przyjmuje bez żadnego oporu, w poczuciu obowiązku, przede wszystkim wobec swoich rodziców, którzy w tym wywiadzie powracają wielokrotnie, zawsze pozytywnie (nawet nadużywanie alkoholu przez ojca zostaje natychmiast zneutralizowane jego wielkimi zasługami w walce „za ojczyznę” podczas drugiej wojny światowej w szeregach konspiracyjnej Armii Krajowej). Mamy tu jeszcze – dorzuconą niejako mimochodem – informację o podjęciu przez ojca pracy magazyniera, co zresztą jest bezpośrednim powodem pozostania na wsi i rezygnacji z edukacji licealnej w pobliskim mieście.

Ta drobna wzmianka o dodatkowej (a może głównej?) pracy ojca komplikuje nam tradycyjny obraz przywiązania do ziemi i siły międzypokoleniowych więzi na wsi, w którą narrator wierzy i do której chce nas przekonać. Ojciec, podejmując pracę zawodową poza gospodarstwem, realizuje przecież już inny scenariusz, chłopsko-robotniczy, niezwykle w tamtym czasie popularny. Etos chłopski jest tu, jak widzimy, od początku przełamany innymi wzorami biograficznymi.

Ta dwoistość powraca zresztą w wielu późniejszych momentach biografii samego rozmówcy, który opowiada o zaangażowaniu w rolniczą „Solidarność”, ponadprzeciętnej religijności czy wieloletniej pracy w szkole w roli katechety. Zważywszy, że jego żona jest lekarką i na co dzień nie uczestniczy w prowadzeniu gospodarstwa, otrzymujemy obraz wiejskiej rodziny bardzo odległy od jakiegokolwiek polskiej typowości. Zwłaszcza tej wyimaginowanej, stereotypowej. Mimo tego przełamania – a może właśnie dlatego – to w tej opowieści, usłyszymy najbardziej radykalne odwołania do tradycyjnych wzorów chłopskiej kultury. Ale o tym dalej. Teraz jeszcze przyjrzymy się tym momentom biografii innych rozmówców, które przesądziły o tym, że stali się rolnikami.

Najstarszy brat podjął szkołę, następną po podstawówce, uczył się jako mechanik, jako ślusarz. Co dwa lata byliśmy. Drugi, następny brat też,

jako elektryk, także jeden dojeżdżał do Środy do szkoły, drugi dojeżdżał do Poznania pociągiem. (...) Za dwa lata wychodziła siostra, poszła do technikum rolniczego. No, bracia, pierwszy brat miał skłonności do rolnictwa, rzeczywiście zamiłowany, pierworodny syn, ojciec zadowolony, bo dużo pomagał. Po skończeniu szkoły zaczął pracować w SKR-ach, także miał kontakt z maszynami, skończył jeszcze SPR-y, taka szkoła była dla młodych ludzi na wsi, szkoła przysposobienia rolniczego. To tam się chodziło sobota, zdaje się, do gminy czy do szkoły podstawowej, zależy, gdzie to było zorganizowane i tam przez dwa lata można było taki kurs kwalifikacyjny zdobyć i dzięki temu potem można było mieć przepisane gospodarstwo. Drugi brat po skończeniu szkoły, tej zawodowej, zaczął pracować w Poznaniu, także dobrze mu szło, dobrze zarabiał, był zadowolony ze swojej pracy. Dobry wybór, ale do technikum nie poszedł, dlatego że miał kłopoty z matematyką. Pamiętam, ciągle z matematyką, wszystko inne było OK. Siostra poszła do technikum rolniczego i po skończonej szkole, a ja poszłam do liceum, do ogólniaka, ja miałam być tą, która się bardzo dobrze uczyła, miałam się wykształcić. (...) Brat najstarszy był mianowany, że ma tu być, na gospodarstwie. W 1976 roku właśnie w styczniu siostra wyszła za męża, w 1976 w czerwcu brat się ożenił, ten młodszy brat, a najstarszy brat i ja byliśmy wolnymi ludźmi. No ja jeszcze do matury się przygotowywałam, no i wtedy rzeczywiście stanowiliśmy taką fajną parę, razem po zabawach, mieliśmy już samochód, wcześniej kupiliśmy samochód (Klara, s. 18).

Ta opowieść o życiowych drogach czwórki rodzeństwa u progu dorosłości jest dużo bardziej rozbudowana i wielowątkowa, niż pokazuje ten skrócony cytat. Dość szczegółowo dowiadujemy się z tej o sukcesach edukacyjnych każdego z nich, ich zdolnościach i talentach, o drogach, którymi oddalają się nie tylko z rodzinnego domu, ale z tamtego wiejskiego czy chłopskiego świata. Tylko dla najstarszego brata przewidziana jest od początku inna droga – powrót i przejście rodzinnego gospodarstwa.

Ten starszy panował nad tymi pojazdami, także urodzony rolnik z krwi i kości, że tak powiem. No i on był mianowany jako pierworodny, z nazwiskiem, że tu zostanie (Klara, s. 18).

Tak budowane jest napięcie tego fragmentu rodzinnej sagi. Jednak w punkcie kulminacyjnym dochodzi do niespodziewanego zwrotu akcji. W wyniku komplikacji relacji rodzinnych i wywołanych nimi napięć, brat z żoną odchodzą z gospodarstwa rodziców, a rozmówczyni – najlepiej z rodzeństwa przygotowana, by ruszyć „w świat”, a przynajmniej do pobliskiego dużego miasta – rezygnuje z dalszej edukacji, zostaje z rodzicami i przejmuje gospodarstwo.

Wtedy nastąpiła taka decyzja, że ojciec, ojciec powiedział, że to ja zostanę na gospodarstwie z czwórki dzieci, najmłodsza, która się miałam w ogóle nie urodzić. (...) Pojechał na jedną komisję lekarską, pojechał tu do lekarza, był wezwany na komisję lekarską. Pojechał sobie autobusem, nawet mi nie mówił. Tak, po prostu, mówi, „jadę do Poznania”. Nikomu nie powiedział. Przyjechał, położył dokumenty i mówi „nie mogę pracować, jestem chory i podejmuję decyzję, że gospodarstwo przepisuję na ciebie”. No jakież moje było zdziwienie, ja miałam cichy układ z bratem, nie wiedziałam, że brat już tam się wmontował, bratowa wmontowała w ten kredyt. Co ja bratu powiem? Ale ojciec był nowoczesny, działał szybko i mówi, do gminy pojechał, złożył papiery. Ja się broniłam rękami i nogami, nie chciałam. Raz, że no nie miałam pojęcia, kiedy się podatki płaci, co to spółka wodna, w ogóle mnie wszystko przerażało, te wszystkie świstki, te zebrania, to wszystko, no mówię, absolutnie nie (Klara, s. 18).

Ta kluczowa decyzja, która zdecyduje o całym dalszym życiu rozmówczyni, zapada właściwie poza nią. Ma wtedy 23 lata. Boi się tej zmiany, ale opór przed tym wymuszonym biograficznym zwrotem trwa bardzo krótko – łamie go konieczność utrzymania rozpadzonego gospodarstwa, wypełniania codziennych obowiązków, dbania o hodowane zwierzęta, reagowania na bieżące sytuacje. A przede wszystkim poczucie podległości decyzji rodziców czy tylko ojca. Choć nie padają wprost takie określenia, przejmowane gospodarstwo opisywane jest jako żywy organizm, za który nie można nie wziąć odpowiedzialności.

Być może dzisiejsza pamięć rozmówczyni dodatkowo łagodzi i minimalizuje przeżywane wtedy napięcia, a nawet żal do siebie czy losu, że z tak wielu dostępnych dróg – dostępnych, wydawało się, na wyciągnięcie ręki, tuż tuż – życie potoczyło się akurat tym, jakby najbardziej zwyczajnym i najprostszym torem. Choć opowiadane jest jakby było gęste od niecodziennych przygód – a każda z tych przygód potwierdzać ma siłę i sprawczość narratorki. A więc – pośrednio – słuszność tamtego zwrotu. Może nie tylko ma potwierdzać, lecz także po prostu potwierdza, skoro przejęła od rodziców gospodarstwo 15-hektarowe, a dziś gospodaruje z mężem na około 200 hektarach.

Trzeci z naszych rozmówców od wielu lat nie prowadzi już gospodarstwa. Dziś wypadaloby zaliczyć go raczej do drobnych przedsiębiorców, a nie rolników – prowadzi w Warszawie mały sklep, w którym handluje parkietem. Jednak nasze spotkanie zaczął od pokazania mi terenu swojego niegdysiejszego sadu, który przylega do domu usytuowanego na obrzeżach jednego z mazowieckich miasteczek znanego z produkcji owoców. Dziś w miejscu tego sadu stoją bloki mieszkalne – co jednak raczej wzmacnia niż osłabia refleksyjną identyfikację narratora ze światem chłopskim i wiejskim. Symboliczna moc świata utraczonego bywa wszak większa od tej nadawanej codziennemu doświadczeniu w re-

alnym świecie. Drugim wzmocnieniem tej identyfikacji są wyraziste biografie rodziców – działaczy tak zwanego ruchu ludowego.

Ja się śmieję, że jestem dzieckiem ruchu ludowego. Dlatego że moja mama złożyła papiery do zakonu. Zakon jej odpowiedział, że owszem może być w zakonie, może wstąpić, ale trzeba spory posąg, albo wykształcenie. Jako że pochodziła z wielodzietnej rodziny, pochodziła z Lubelskiego, posagu nie było, więc poszła skończyć szkołę średnią w Dąbrowie Zduńskiej pod Łowiczem prowadzoną przez Zofię Solarzową¹¹, bardzo znaną osobę, działaczkę przedwojennego ruchu ludowego. Ojciec z kolei też był z wielodzietnej rodziny spod Grójca, z Janówka, z wioski. I też nie było stać moich dziadków na wykształcenie ojca, ale ponieważ był zdolny i wyróżniał się, to Ruch Ludowy skierował go na ten Uniwersytet Ludowy do Gaci Przeworskiej. Także złapał ogłady i jakieś szkoły. Dzięki temu, że we dwójkę byli pchani życiowo przez ten Ruch Ludowy – spotkali się. Mamę skierowano tu do pracy w spółdzielni „Wieśniak”, którą założyli rolnicy, żeby oszczędzać na zakupach, żeby nie dać się oszukać i sprzedając te towary, na tym zarabiać (Waldek, s. 2).

I jeszcze krótki fragment o wojennym zaangażowaniu rodziców w działalność konspiracyjną:

Ojciec był w „Wieśniaku”. W wojnie oboje rodzice brali czynny udział w ruchu oporu. Byli w Batalionach Chłopskich (...). Ojciec był powiatowym szefem propagandy, a matka była w takich trójkach kobiecych. Była taka struktura specjalna w Batalionach Chłopskich. Mieli w mieszkaniu radio. Słuchali tych wiadomości. Później przenoszone to było na prasę. A ponieważ pracowali w sklepie, to z tego sklepu ulotki były wydawane, więc nie rzucały się w oczy (Waldek, s. 2).

Te fragmenty ujawniają nie tylko oczywistą dumę narratora z jego chłopskiego pochodzenia – pozwalają mu także zbudować prolog do historii własnego zaangażowania politycznego, tworzenia struktur rolniczej „Solidarności”. Mamy tu wskazanie na pewien szczególny element chłopskiego świata czy chłopskiej kultury. Rodzice rozmówcy nie są bogatymi gospodarzami, nie mają wiele ziemi, należą jednak do chłopskiej elity. Są swoistymi mediatorami między kulturą chłopską, a kulturą narodową – jej świadomie wybranymi elementami. Celem tej mediacji nie jest tylko „unarodowienie” chłopów, zwiększenie

¹¹ Zofia Solarz (1902–1988) – pedagog, harcerka, instruktorka teatralna, działaczka ruchu ludowego, współtwórczyni uniwersytetów ludowych w Polsce międzywojennej i po drugiej wojnie światowej, uczestniczka konspiracji.

ich identyfikacji z Polską i polsnością (pamiętajmy, że polski ruch ludowy rozdził się w okresie zaborów), ale stoi za nim też szerszy projekt modernizacyjny: uspołecznienia i upolitycznienia chłopów, poprzez kształtowanie w nich poczucia sprawczości i podmiotowości – indywidualnej, a jeszcze bardziej zbiorowej. Jej uchwytnym przejawem były różne formy rolniczej spółdzielczości, o których rozmówca opowiada ze szczegółami. Zaangażowanie, z jakim to robi, pokazuje, jak bardzo identyfikuje się z tą tradycją.

Choć wielu animatorów ruchu ludowego pochodziło z tzw. klas wyższych – jak choćby wspomniana tu Zofia Solarz – to jednak zasadniczo był to ruch oddolny. Biografie rodziców narratora dobrze to pokazują. Oboje pochodzą ze wsi, z wielkim trudem, dzięki wsparciu ruchu ludowego zdobywają wykształcenie, które jednak nie służy im – jak większości innych o chłopskim czy wiejskim rodowodzie – ucieczce ze wsi i realizacji „miejskich” scenariuszy biograficznych czy wzorów kariery, lecz świadomemu pozostaniu na wsi – jej „oświecaniu” i „modernizowaniu”.

Znamienne, że kilkadziesiąt lat później, w zupełnie innym kontekście historycznym, rozmówca powtórzy ten biograficzny plan rodziców. W każdym razie podejmie taką próbę:

Miałem już wtedy dwójkę dzieci, które się urodziły, skończyłem studia w 78. roku, ale w 75. już kupiłem gospodarstwo, kupę ziemi, wzięłem dwa kredyty na zakup ziemi i na założenie sadu, dokupiłem ten sad, co rodzice dzierżawili, więc miałem taki półtora i dwa i pół tu na miejscu i kupiłem jeszcze dziewięć pod Grójcem, wzięłem na to kredyt, żeby tam posadzić sad, robiłem tam wszystko samodzielnie, ponieważ no przeinwestowałem, bo to za duża powierzchnia, ja nie miałem że tak powiem środków na bieżące prowadzenie, wszystkie pieniądze, jakie tylko były musiałem włożyć w ogrodzenie, którego miałem 900 m, sam je zrobiłem, sam zrobiłem drzewka, sam je posadziłem, kilka tysięcy drzewek, no to była ogromna inwestycja i ona powinna mieć pieniądze na bieżące funkcjonowanie, a ja nie miałem. Miałem na start, na zakup ziemi, na takie podstawowe rzeczy, więc ja byłem tam zaorany na śmierć, ja wstawałem o czwartej, piątej, jakiś czas koniem, później dopiero ciągnikiem jeździłem i samochodem już na koniec, jeździłem na to pole, pracowałem do godziny osiemnastej, dziewiętnastej, przyjeżdżałem do domu, szybko myłem się i jadłem i trzeba było natychmiast kłaść się spać, żeby następnego dnia móc tak wcześnie wstać. Takie było, że tak powiem, moje życie. I później miałem jeszcze dwójkę dzieciaków się urodziło, po 80., dwie dziewczyny, no urodziły się 83., 84, tak więc miałem już w samym środku tej zadymy czwórkę małych dzieci. Rozkręcone ogromne gospodarstwo, które no nie znosiło mojego braku obecności. Gdybym miał pieniądze,

mógłbym więcej najać, mógłbym więcej swoją pracę zastąpić maszynami, owszem, ale ja tego nie mogłem, bo nie miałem takiej możliwości i tyle. W takiej byłem sytuacji, kiedy ta „Solidarność”, że tak powiem wybuchła i kiedy mnie ten wir wciągnął bez, że tak powiem prawie, że bez reszty i w sumie zamordował to moje gospodarstwo (Waldek, s. 4).

Powyższy fragment jest krótkim streszczeniem całego „rolniczego”, najważniejszego etapu biografii narratora. W dalszym toku wywiadu będzie go rozwijał, wypełniał wielością szczegółów i anegdot – oraz scalających to wszystkie historycznych uogólnień. Ale już tutaj, w zwartej, skrótowej, sygnalnej formie, wskazane jest to, co najważniejsze: studia, objęcie gospodarstwa i próba rozwijania go na quasi-rynkowych zasadach, rodzina, wreszcie – zaangażowanie w rolniczej „Solidarności”, które finalnie doprowadza – tak przynajmniej widzi to narrator – do upadku gospodarstwa.

Zwróćmy przez chwilę uwagę na metaforykę tej opowieści. Gospodarstwo zostaje „rozkrecone” – niczym wielka maszyna, która wszak wymaga stałej obecności, ogromnej energii i zaangażowania. Jest wymagająca bardziej niż rodzina, która znosi narastające zaangażowanie ojca/męża w działalność społeczną i polityczną. Ziemia jej nie toleruje. Rozmówca nie mówi jednak, że rozpedzona przez niego maszyna stanęła, ale że została zamordowana. Wprawdzie nie przez niego, lecz przez wir spraw, który go wciągnął, ale to niewiele zmienia, nie zdejmuje winy, nie łagodzi poczucia straty, jakie przebija z tej narracji. Może sukces rolniczej „Solidarności” zrekompensowałyby to poczucie straty – i utraty kontroli – ale ostatecznie to także jest opowieść o klęsce.

Być może ta opowieść i ta biografia najmocniej ujawnia sprzeczności i napięcia między różnymi wzorami i wariantami „chłopskości” i „wiejskości” okresu PRL-u. Najbardziej radykalna, rewolucyjna próba odmiany chłopskiego losu – i niejako równoległe losu własnego – kończy się spektakularną porażką. Choć wiemy, że rozmówca ostatecznie sobie „poradził”, to niepowodzenie realizacji tamtego, głęboko zinternalizowanego, biograficznego planu, rzuca jakiś wyraźny cień na resztę opowiedzianego życia. Tak jak rzucają go mieszkalne bloki stojące w jego dawnym sadzie.

Gospodarowanie w PRL-u

Moi rozmówcy wchodziłi w dorosłe życie i obejmowali gospodarstwa rodzinne – tzn. stawali się ich właścicielami, bo wszyscy pracowali w nich od dzieciństwa – gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. W zgodnej opinii historyków i samych rolników był to dobry, a może najlepszy czas dla

polskiej wsi okresu PRL-u, do dziś przez wielu wspominany z rozrzewnieniem i nostalgią.

W naszych wywiadach takich emocji nie widać. Widać natomiast wyraźną poprawę warunków gospodarowania – a niekiedy także warunków życia, czy zmiany w sferze konsumpcji. Z drugiej strony dostajemy mnóstwo pamięciowych obrazów sytuacji, które ujawniają zupełnie elementarne deficyty zaopatrzeniowe, charakteryzujące gospodarkę niedoboru, jak określa się nieraz PRL¹². Ten niedobór dotyczy zarówno sfery codziennej konsumpcji, jak i środków produkcji rolnej. Emblematicznym i anegdotycznym przypadkiem tego drugiego deficytu jest brak sznurka do snopowiązałek, który powraca w jednym z wywiadów. Inny powracający motyw w wywiadach z rolnikami to oczekiwanie na kombajn w czasie żniw. Oto jedno z takich zbliżeń z kombajnem w roli głównej.

I zasiałem te zboże. No, ale niestety zboże się udało piękne, ale jak co do czego przyszło, a miałem go zakontraktowane, więc miałem pierwszeństwo zgodnie z zasadami komunistycznymi, dostępu do środków produkcji. I jeszcze sąsiad mi obiecał, że jak będzie się zapisywał na ten kombajn, to tam mnie zapisze. Potem jakoś się okazało, że za dużo chętnych było, że za mało kombajnów, zapisał mnie czy nie zapisał. W każdym bądź razie nie, te zboże, nie bardzo mogli to, ten kombajn nie chciał przyjść do mnie bardzo. I zaczęła się jakaś duża presja rolników na to, żeby, walka o kombajn była. I żeby nie dopuszczać do tego, że się kombajniście wsadzało albo flaszkę w kieszeń, albo dawało mu się parę groszy, jak to w komunizmie, to sekretarz partii¹³ i szef ZSL-u¹⁴ wymyślili listę, po prostu, kto się wpisał, to po kolei według listy ten kombajn jeździł. A była to oczywista głupota, dlatego że jak ktoś się wpisał z jednego końca gminy a drugi z kolei się wpisał z drugiego końca gminy, to tak olbrzymia maszyna zamiast kosić, to jeździła z końca w koniec. I tak wyszło, do mojego sąsiada przyjechali, skosili, a do mnie nie. I w końcu termin już prawie że no kończył się, bo te zboże się zaczęło sypać, jeszcze zaczęło padać. Akurat wjazd na moje pole długie, takie dość wąskie w kształcie, był od dolnej części, gdzie było mokro, ten kombajn zaczął się tam topić, ja się w końcu wściekłem i poszedłem na skargę do sekretarza, który już wiedział, że ten kombajn już nie mógł tam wjechać” (Waldek, s. 5).

¹² To określenie przeszło już dawno do języka potocznego. Niedawno zyskało jednak nowe, mocniejsze znaczenie i stając się kluczem do zrozumienia rzeczywistości PRL-u, a przynajmniej jej podstawowego społecznego wymiaru. Zob. Mazurek 2010.

¹³ Chodzi o PZPR – Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą.

¹⁴ Chodzi o ZSL – Zjednoczone Stronnictwo Ludowe.

To cytat z wywiadu z panem Waldkiem – rolnikiem, który zaangażował się w działalność opozycyjną, współtworzył rolniczą „Solidarność”, który bardzo negatywnie wspomina rzeczywistość Polski Ludowej. Powyższy fragment też niesie takie negatywne przesłanie – rolnictwo w tamtym czasie to smętny teatr absurdu, w którym kombajn jeździ raczej drogą po całej wsi niż po polu (choć ostatecznie na nim grzęźnie), a napędzany jest drobnymi łapówkami i partyjnymi poleceniami. Możemy tu zapytać – raczej retorycznie – jaka jest tu zależność między doświadczeniem z tamtego czasu, a politycznym i światopoglądowym nastawieniem rozmówcy: wtedy i teraz. Bez wątpienia kombajnowa anegdota, nawet jeśli zgodna z własnym doświadczeniem, służy tu przede wszystkim podkreśleniu „absurdów systemu”. Wszak sprzeciw wobec nich i walka z nimi (i z owym systemem jako pewną wyobrażoną całością) jest tym, co nie tylko organizuje narrację tego rozmówcy, ale przede wszystkim stanowi do dzisiaj jego najważniejsze sensotwórcze doświadczenie biograficzne. Określa jego rolniczą i obywatelską tożsamość.

Zapewne te sensory i akcenty rozłożone byłyby inaczej, gdyby pan Waldek utrzymał swoje gospodarstwo. Może wtedy na plan pierwszy wybiłyby się opowieści o gospodarskiej zaradności, które teraz, choć obecne, zostają zepchnięte na margines przez dominującą w całej narracji pespektywę polityczną.

Przyjrzymy się na pozór podobnej anegdocie kombajnowej, przywołanej w narracji pani Klary.

Z tych pierwszych lat mojej gospodarki to niemiło wspominam np. takie załatwiania czegokolwiek w biurach. To było coś strasznego, iść do biura coś załatwić, traktowali człowieka jak takie zło konieczne, a co ja mogę chcieć? Jest tak, jak jest i czego ja się domagam. Absolutnie to źle wspominam. Takie pierwsze żniwa, kiedy byłam tu na gospodarstwie, były też bardzo trudne. Pamiętam, że zaczęły się drugiego września. Dużo padało, gnojowica zalewała wszystko, prezes SKR-u¹⁵ był wszechwładny, tak mu wszyscy stawiali, łapówki, wódkę, że codziennie nie trzeźwiał. Całe żniwa grał w ping-ponga, bo co miał robić. Tu padało, to popić i grać w ping-ponga, dyrektor i prezes i wszyscy. Ojciec się zniechęcił, to potrafili go tak „a ty Bogdan przecież już nie jesteś gospodarzem, to po co tu przyjeżdżasz?”. No takie potraktowanie rolnika, który był tyle i tyle lat producentem, jednym z pierwszych. To było naprawdę bolesne. Ja pojechałam i mówię im, że zamawiam na dwa hektary pszenicy kombajn. Określenie, „ok., dobrze, przyjedziemy w środę”. We wtorek jest decyzja, że najpierw młócimy paszowe a nie chlebowe, no to moja pszenica zostaje. No dobrze, no to ja zgłaszam swoje dwa hektary mieszanki, paszówki. W czwartek

¹⁵ SKR – Spółdzielnia Kółek Rolniczych.

zapada decyzja, że pierwsze młócimy chlebowe i znowu od początku. No i tak całe 5, 6 tygodni te decyzje zapadały, dlatego, że ja nie dałam łapówki. Jak dochodziło do mnie, kombajn wycofywali, od początku wsi, zanim te działki po dwa hektary wymłócili, no to znowu do mnie nie przyszło. No i przyszło, że 2 września wszyscy żniwa mają zrobione a ja stoję ze zbożami. Nie mam słomy, nie mam zboża praktycznie, no, ale któregoś dnia pojechałam, „słuchajcie, co wam powiem”. Ci słuchają przy tym ping-pongu, „ja wam nie dam ani złotówki łapówki i żniwa będę miała zrobione”. Odwróciłam się na pięcie, trzasnęłam drzwiami i wyszłam. Ojciec pojechał do Jarosławca i przysłali nam dwa kombajny. (...) No, ale plus był, że wtedy zrobiła się pogoda i namłóciliśmy suchego a ci, co tak na siłę młócili, wrywali te wszystkie zboża, namłócili. Nie było suszarni, zmarnowali, potem widzieliśmy, jakie kupy przed stodołami były powywalane. Zmarnowali zboże. No to była taka polityka. (...) Także pamiętam takie niemiłe historie, to mnie bardzo bolało, ale powiedziałam, że muszę być na tyle odporna, że sobie z tym poradzę, że mnie nie złamią” (Klara, s. 23).

Podobnie jak wcześniej, tu też mamy obśmianie „systemowych absurdów”, które kombajn najwidoczniej uosabiał – wszak to duża, głośna i dosyć pokracczana maszyna, tym dziwniejsza, że widywana odświętnie. Jednak finał – i ostateczna wymowa – tej anegdoty jest zupełnie inna od poprzedniej, opowiedzianej przez pana Waldka. U niego kombajn pozostaje do końca polityczny – grzęźnie w mokrej łące, stając się smętnym symbolem niemocy komunistycznego systemu, znakiem fiaska tamtego projektu modernizacyjnego. Nieskoszone zboże marnieje, gospodarstwo podupada.

W narracji pani Klary, mamy zupełnie inne rozwiązanie. Polityce – z jej absurdami, takimi jak kombajny zasilane łapówkami – zostaje przeciwstawiona własna pragmatyka: zdecydowana sprawczość, zaradność i siła. To zresztą jedna z wielu podobnych scen, w której widzimy, jak narratorka wychodzi zwycięsko z rozmaitych życiowych kłopotów, jak stawia na swoim, jak pokazuje nam (i pewnie sobie), że nie ma tego złego, co by jej na dobre nie wyszło. Można powiedzieć, że w tej postawie ujawniają się – poza psychologicznymi dyspozycjami narratorki – pewne cechy „chłopskiej logiki przetrwania” charakterystyczne dla tradycyjnych czy posttradycyjnych wzorów gospodarowania, opartych na wewnętrznych zasobach, daleko posuniętej samowystarczalności i stosunkowo odpornych na zewnętrzne okoliczności.

Nie jest to jednak, jak mogłoby się pozornie wydawać, żaden antysystemowy protest czy bunt. Przeciwnie raczej – to doskonała umiejętność dostosowania do aktualnego systemu, wyciągania z niego maksimum tego, co się da. Potwierdza to inny fragment tej samej narracji, dotyczący zresztą mnie więcej tego samego czasu.

Gospodarstwo było bardzo dochodowe, rzeczywiście hodowaliśmy wtedy tzw. bekony, świnie, które się sprzedawało w wadze 95 kilogramów, 90% mieliśmy w klasie ekstra. Także były pieniądze, moja matka przy tym robiła, bo miała naprawdę specjalny dar, robiła pokazowe tucze. Wtedy bardzo korzystnie to było, bo to chodziło o to, żeby lepsze pasze, lepsza jakość tuczu, lepsze przyrosty, szybszy tucz i żeby osiągać te wyniki jakościowe. No i to wychodziło. Były też krowy dojne i bydło opasowe nadal, ale było dużo łatwiej, bo już były kombajny zbożowe. W latach siedemdziesiątych Wistule wchodziły już, nie robiło się snopowiązałkami. Ojciec był nowoczesny bardzo, to, co było nowe, to szybko łapał, wchodził w to, już w dużej gamie stosował te nawozy nowoczesne, nie tylko obornikiem, ale już opryski wtedy wchodziły, Chwastox, coś takiego było. Już były opryskiwacze w tych SKR-ach, brat tam pracował, to mieliśmy dostęp do tego, także było nowoczesnie, jak na tamte czasy” (Klara, s. 9–10).

Gdyby nie kilka nazw własnych, które tu padają, moglibyśmy sądzić, że ten opis odnosi się do świetnie prosperującej farmy hodowlanej zlokalizowanej gdzieś w zachodniej Europie. Tymczasem chodzi o piętnastohektarowe gospodarstwo w Polsce w końcu lat siedemdziesiątych. Jeśli poprzedni fragment przynajmniej sygnalizował „systemowe” niedobory i wydobywał kurioza socjalistycznej polityki gospodarczej w mikroskali, ten sugeruje raczej, że w Polsce w tamtym czasie dało się prowadzić – i niektórzy, jak nasza narratorka prowadzili – nowoczesne gospodarstwo rolne, intensyfikujące produkcję, zorientowane na rynek.

Posiadając dość powszechną wiedzę, że polskie rolnictwo po drugiej wojnie światowej – inaczej niż rolnictwo pozostałych krajów tzw. bloku socjalistycznego – pozostało przez cały czas w rękach prywatnych¹⁶, można by sądzić, że wytworzyło ono swoistą wolnorynkową niszę w gospodarce socjalistycznej, nierynkowej. Czy zatem – jak można wnioskować z powyższego cytatu – polscy chłopci albo rolnicy, przynajmniej Ci najbardziej zaradni i przedsiębiorczy, byli ostoją kapitalizmu? Niekoniecznie. Owe „pokazowe tucze” i inne okazy „klasy ekstra” pokazują raczej powiązanie czy wręcz symbiozę między indywidualną chłopską własnością, gospodarnością, zaradnością a polityką rolną państwa, zorientowaną na poprawę wydajności i jakości produkcji. Wygrywane konkursy i zdobywane nagrody – oraz idące za tym zwiększone dochody z gospodarstwa – to nie przejawy kapitalistycznej konkurencyjności, lecz odgórnie projektowanej polityki modernizacyjnej na polskiej wsi w latach siedemdziesiątych

¹⁶ Zasadniczo, bo były próby jego kolektywizacji, które zarzucono w połowie lat pięćdziesiątych. Nie zrezygnowano natomiast z tworzenia Państwowych Gospodarstw Rolnych, nieraz bezpośrednio sąsiadujących z prywatnymi.

(Szczepeński 1993: 47–48). Historia sukcesu pani Klary pokazuje przynajmniej częściową skuteczność tej polityki. Prowadzone przez nią gospodarstwo jest samowystarczalne, odporne na zmiany koniunktury, opiera się na sile rodzinnych więzi i osobistym zaangażowaniu wszystkich jej członków – w tym wymiarze jest więc bardzo tradycyjne, chłopskie. A jednocześnie zyskuje cechy gospodarstwa protofarmerskiego, produkującego na potrzeby rynku. Tylko że jest to rynek w dużej mierze animowany przez państwo.

Te quasi-rynkowe nisze w sferze produkcji, w tym przypadku produkcji rolnej, w jakich funkcjonowało gospodarstwo pani Klary, miały swój swoisty odpowiednik w sferze konsumpcji – była nim sieć sklepów Pewex, oferująca zagraniczne i krajowe towary luksusowe (definicja była oczywiście ruchoma, niekiedy chodziło o artykuły pierwszej potrzeby wobec niedoborów zaopatrzenia) za tzw. waluty wymienne, przede wszystkim za dolary amerykańskie. Paradoksu dopełniał fakt, że były to sklepy państwowe.

No, finansowo żyło nam się dobrze, zawsze było nas stać na to, już wtedy, w liceum, to już ciuchy z Pewex, już dolary się kupowało, na wakacje się wyjeżdżało do dziadków, tam się zarabiano na buty, na wranglery, bardzo modne były, lee, pamiętam. Wtedy już były organizowane, to były lata siedemdziesiąte, wycieczki na Węgry z naszej gminy, już korzystaliśmy. Brat pojechał, kupił ładne ciuchy, bluzki, Peweksy były bardzo modne wtedy (Klara, s. 6).

Charakterystyczne, że to właśnie pani Klara z dumą opowiada, że stać ich było na zakupy w tych sklepach, co jeszcze wyraźniej pokazuje, że „kapitalistyczna” produkcja – i także konsumpcja – mogły być integralnymi elementami socjalistycznej gospodarki.

To oczywiście jedynie sygnałowe przykłady wyjęte z kilku wywiadów. Ale już uważna lektura nawet tych trzech narracji pokazuje ogromne zróżnicowanie polskiego rolnictwa w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Znamienne, że tym, co różnicuje, nie jest tu wcale ilość posiadanej czy obrabianej ziemi, uważana często za najlepszy wskaźnik modernizacji (duże gospodarstwa farmerskie nastawione na produkcję rynkową dominujące „na Zachodzie” *versus* małe gospodarstwa rodzinne nastawione na trwanie i przetrwanie charakteryzujące polską wieś), bowiem każdy z moich rozmówców gospodarował przed 1989 rokiem na podobnym, kilkunastohektarowym obszarze. Bo może właśnie nie tyle chodzi o zróżnicowanie polskiego rolnictwa, co strategii działania konkretnych rolników. Strategii, co oczywiste, osadzonych w różnych kontekstach: od rodzinnych po makroekonomiczne. Nie są to konieczne strategie jednokierunkowe, częściej hybrydy rozmaitych wzorów

działania: łączenie państwowego etatu z uprawą dużego gospodarstwa, sprzedaż owoców z własnego sadu na miejskim targowisku i kontraktowanie wielu ton jabłek z tego samego sadu na eksport do ZSRR albo prowadzenie nowoczesnego, pokazowego, farmerskiego gospodarstwa produkcyjnego opartego jednak na tradycyjnych „chłopskich” wartościach i silnych więzach rodzinnych – przejawiających się między innymi w jakby oczywistym dla wszystkich jej członków obowiązku pracy w gospodarstwie.

Tym, co łączy te wszystkie warianty zróżnicowanych rolniczych biografii – także zróżnicowanych czy wręcz sprzecznych wewnątrznie, można dodać – jest z pewnością ogromna zdolność adaptacji do zmiennych warunków zewnętrznych, umiejętność oscylowania między orientacją na przetrwanie, samowystarczalnością a wchodzeniem, nieraz bardzo zdecydowanym i ryzykownym, w mechanizmy quasi-rynkowe, pozwalające wypracować konkretne zyski ekonomiczne, ale dające też satysfakcję symboliczną i statusową: wyróżnienie, uznanie, poczucie wyjątkowości.

Znamienne, że jedyny projekt biograficzny, który ponosi tu fiasko, to projekt polityczny. Pan Waldek, rozmówca najbardziej świadomy swojej chłopskości i najlepiej przygotowany, przynajmniej teoretycznie, do prowadzenia nowoczesnego gospodarstwa rolnego, zmuszony zostaje do likwidacji gospodarstwa i sprzedaży ziemi. Powie w gorzkim żarcie, że rolnicza „Solidarność”, w którą się żarliwie zaangażował, by walczyć o sprawy rolników, „zamordowała” jego gospodarstwo. Choć ma czwórkę dorosłych dzieci, które zdobyły wykształcenie w popłatnych zawodach, mieszkają w stolicy kraju i dobrze sobie radzą, to jednak z jego narracji bije poczucie porażki i straty.

To swoisty paradoks, że – jako rolnik – przegrał ten z rozmówców, który postawił na „Solidarność”, a sukces odniosła pozostała dwójka, która przed 1989 rokiem należała do „reżimowej” partii chłopskiej, czyli Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Nawet jeśli, jak dziś przekonują (znowu: siebie przede wszystkim), był to akces jedynie epizodyczny i jakby przypadkowy. Jaki by nie był, potwierdza wcześniejsze rozpoznanie o skuteczności biograficznych strategii adaptacyjnych i konformistycznych, a porażce tych buntowniczych. Zresztą trwała, choć jakby niewidzialną obecność wyrosłego z ZSL Polskiego Stronnictwa Ludowego w centrum polskiej sceny politycznej po roku 1989 potwierdza chyba to samo, choć na zupełnie innym oczywiście poziomie.

Wartości dziedziczone – tradycje wynalezione – nowe strategie działania

Powróćmy jednak do indywidualnych opowieści naszych rozmówców, by przyjrzeć się temu, jak dzisiaj, ćwierć wieku po przełomie ustrojowym (zresztą słabo w ich opowieściach odnotowanym), konstruują swoje chłopskie i wiejskie tożsamości. Zamiast jednak niemożliwej w tym miejscu skrupulatnej analizy wprost przez nich deklarowanych albo *implicite* przyjmowanych wartości, lub też opisywania i systematyzowania podejmowanych przez nich praktyk – skupię się tutaj na jednym elemencie (z) ich świata. Na koniu.

„Koń, jaki jest, każdy widzi” brzmiała definicja konia w pierwszej polskiej encyklopedii powszechnej wydanej w połowie XVII stulecia. Jej autor, ksiądz Benedykt Chmielowski, najwyraźniej nie uznał za konieczne definiować czegoś, co każdemu potencjalnemu czytelnikowi znane było świetnie z codziennego, naocznego doświadczenia. Tymczasem konie, które posiadają i o których chętnie mówią nasi rozmówcy bynajmniej nie są oczywiste. Nie są tylko końmi „po prostu”, jakie możemy zobaczyć w ich stajniach, lecz także nośnikami istotnych symbolicznych znaczeń.

Jak myśmy się urodzili, to nie było jeszcze samochodu, to nas ojciec do szczypania woził karocą, taką okrągłą. Dzisiaj, jakby ktoś pojechał, to byłoby och i ach, a myśmy się tego wstydzili, że to koń. No bo konie były sponiewierane, jak już weszły te traktory wszędobylskie, to momentalnie, jak mrówki się rozlewały te wszystkie traktory. Samochody, bardzo szybko to zalewało. Pamiętam, jak ojciec mój rozrywał tę bryczkę, do wierzby przywiązali łańcuchami a z drugiej strony ciągnęli traktorem, żeby to porąbać, żeby się skończyło. (...) No i niestety, ja pamiętam, jak taką żółtą bryczkę i taką czarną karocę właśnie ojciec rozciągnął. Dzisiaj mam koła tylko po niej, bo były metalowe, z obręczami, nie szło ich porąbać. Mam te koła schowane, mam te orczyki, mam dyszle pochowane (Klara, s. 9).

To wyraziste wspomnienie spektakularnego pożegnania z koniem (i związanymi z nim sprzętami i akcesoriami) symbolizującym tradycyjną kulturę chłopską dokonane przez ojca pani Klary. Pożeganie wrogie, przepełnione pasją niszczenia, chęcią pogrzebania na zawsze atrybutów zacoferania i upokorzenia. Będące aktem symbolicznej zemsty. Jeszcze jeden wymowny znak intensywności procesów modernizacyjnych na polskiej wsi w latach powojennych (pierwszy traktor pojawił się w tym gospodarstwie w roku 1962).

Już wiemy, że w następnym latach to niewielkie tradycyjne gospodarstwo przekształciło się w duże, nowoczesne, dochodowe, ale nadal rodzinne, przed-

siębiorstwo rolne. Dziś, także dzięki umiejętności pozyskiwania dotacji z Unii Europejskiej, wyposażone jest w najnowocześniejszy sprzęt rolniczy wart kilka, może kilkanaście milionów złotych.

Jednak do gospodarstwa powróciły też konie – tyle że w zupełnie innej niż kiedyś roli. Konie nie są już, jak dawniej, wykorzystywane jako siła pociągowa i środek transportu. Służą nie pracy, lecz przyjemności, zajmowanie się nimi, a tym bardziej ich ujeżdżanie to zajęcia przynależne do czasu wolnego. Ale nie jest to też zwyczajne hobby, jeden z wielu możliwych sposobów na odpoczynek od codziennych uciążliwości.

Konie służą tu także budowaniu i podkreślaniu więzi z przodkami, którzy kiedyś w tym miejscu gospodarowali i także je posiadali. Nie szkodzi, że ta ciągłość została na wiele lat zerwana i że konie wykorzystywano kiedyś w zupełnie inny sposób, nawet jeśli i wtedy mogły być źródłem dumy i prestiżu. Dziś są nimi na pewno. Nobilitują właścicieli – przede wszystkim w ich własnych oczach. Tak traktowane i używane należą wszak do atrybutów kultury „pańskiej” – nie chłopskiej. Choć ani jednej, ani drugiej od dawna już nie ma, ślady ich obu nadal wypełniają imaginarium polskiej kultury, skoro stają się punktem oparcia biograficznych wyborów.

Oczywiście te symboliczne konotacje w żaden sposób nie osłabiają spontaniczności i autentyczności zaangażowania pani Klary w hodowlę tych zwierząt. Psychologicznie można tę aktywność interpretować wręcz jako opóźnioną kilkadziesiąt lat realizację młodzieńczych marzeń narratorki – wszak planowała zostać zootechnikiem i zajmować się końmi.

No i przyszedł rok 2000, przełomowy. Wtedy właśnie postanowiliśmy, że z powrotem do gospodarstwa wprowadzimy konie. I udało się wprowadzić konie. Zawsze chcieliśmy akcentować jakieś ważne wydarzenia czymś ważnym. (...) No, te wszystkie lata z dzieciństwa, jak pamiętam, to były lata pracy z końmi. Ludzie się dużo nachodzili, naciągnęli rękoma, no, ten sentyment do koni, pasja mi została do dzisiaj. Hoduję konie i to zostanie już na zawsze (Klara, s. 34).

Ta pasja do koni – poza znaczeniem symbolicznym, statusowym i tym psychologicznym – ma jeszcze interesujący wymiar mikrospołeczny. Pani Klara, razem z innymi gospodarzami-koniarzami, organizuje dla mieszkańców okolicznych wsi zajęcia ruchowe, w tym lekcje jazdy konnej. Mówi o tej aktywności z zaangażowaniem i dumą. Może to jeszcze jeden z jej sposobów na transgresję swojego chłopskiego losu, swojego przywiązania do ziemi, którego nie wybrała – i którego nie zerwała.

Konie są dziś też w gospodarstwie pana Franciszka. Nie jest to gospodarstwo duże ani tak nowoczesne jak to pani Klary. Nie sprawia wrażenia świetnie

zorganizowanego nowoczesnego przedsiębiorstwa rolnego, jak tamto, lecz uderza jakąś polską zwyczajnością, nieokreślonością, a przy tym typowością. Choć byłem tam po raz pierwszy podczas wywiadu, miałem wrażenie, że odwiedzam miejsce jakoś znane, nieraz widywane, o którym jednak (a może właśnie dlatego) nie potrafię zbyt wiele powiedzieć. Bez rozmowy z gospodarzem nie miałbym pojęcia, jak jest duże, na jaki rodzaj produkcji nastawione, jak prosperuje.

Z rozmowy z jego właścicielem, panem Franciszkiem, już to wiem, ale wiem też, że w perspektywie jego autobiograficznej narracji to nie są sprawy najważniejsze. Dużo ważniejsze są te, które w jego gospodarstwie symbolizuje obecność koni. W jego przypadku konie nie służą do odpoczynku, rozrywki, nie mają też zaznaczać pozycji statusowej ani zaspokajać po czasie jakichś niezrealizowanych młodzieńczych marzeń – chociaż pan Franciszek także miał do czynienia z końmi w gospodarstwie prowadzonym przez ojca, w którym od dzieciństwa pracował. Konie służą tutaj ciągle do pracy w polu i jako siła pociągowa. Niejedyna, bo pod wiatą stoi też wyeksploatowany już traktor, ale ważna. I to ważna nie tyle ilościowo, co – by tak powiedzieć – jakościowo, a jeszcze lepiej – symbolicznie.

Praca końmi nie jest bowiem tutaj żadną ekonomiczną koniecznością, lecz pewnym życiowym wyborem, jednym z wielu, poprzez które pan Franciszek realizuje najważniejsze dla niego wartości. Wcześniej przywoływałem fragmenty jego narracji dotyczące objęcia gospodarstwa po ojcu, zaangażowania społecznego i politycznego (najpierw z ZSL, potem zdecydowanie aktywniej – w rolniczej „Solidarności”). Wspominałem też o łączeniu, już po roku 1989, pracy na roli z etatem szkolnego katechety i o nietypowym dla rolnika związku małżeńskim z lekarką.

Te wszystkie przybliżenia i charakterystyki, nie nazywają jednak wprost tego, co w tej autobiografii zdecydowanie najważniejsze, co jest nie tylko jej stałym motywem, ale zasadą naczelną, organizującą opowieść o „całym” życiu. Tą zasadą naczelną jest tu wiara religijna – żarliwy i autentyczny katolicyzm. Nazywam go „autentycznym”, by zdecydowanie, nawet jeśli tylko roboczo, odróżnić od religijności „deklaratywnej” czy „obyczajowej”. Nie chodzi mi przy tym o przeciwstawianie jednej drugiej (w domyśle lepszej – gorszej), lecz o podkreślenie wyjątkowości tej opowieści, w której wiara jest dla narratora ramą interpretacyjną każdego doświadczenia życiowego. W tym oczywiście i przede wszystkim doświadczenia pracy na roli.

Chociaż przejęta od rodziców wiara była obecna w biografii pana Franciszka od dzieciństwa, nietrudno wskazać moment wyraźnego religijnego zwrotu po śmierci matki – w połowie lat osiemdziesiątych. Codzienne uczestnictwo w mszy świętej, przyrzeczenie abstynencji, udział w pielgrzymkach i zamkniętych rekolekcjach wiąże z tamtym czasem, wskazując na tę zmianę. Jego dal-

szym efektem będzie zaangażowanie społeczne i polityczne po 1989 roku, praca katechety, prawdopodobnie także stworzenie rodziny zastępczej dla czwórki siostrzeńców żony. Będzie też, najważniejsza dla nas tutaj, zmiana filozofii gospodarowania.

Po śmierci mojej mamy proszę pana, tak jak powiedziałem w osiemdziesiątym szóstym roku w Środę Popielcową byłem w kościele któregoś tam dnia na mszy świętej / jest taki u nas w bocznej nawie obraz Matki Bożej. Klęknąłem przed Matką Bożą i tak mówię (bo matka moja, matka chrzestna przez płot tutaj mieszkała, zmarła dużo wcześniej) mówię: matkę chrzestną pochowałeś dużo wcześniej, teraz odeszła moja mama, a teraz jesteś Ty, Matko, Tobie powierzam swoje życie. Później przed obrazem Pana Jezusa jeszcze dopowiadam: Panie Jezu, ja pragnę Ci służyć (...)

Wtedy to nie było niedzieli, żebym ja, mimo tego że cały dzień pracowałem na polu, to w niedzielę żebym ja jeszcze sobie na spokojnie czy na koniu czy na rowerze nie pojechał, nie popatrzył na to pole... Pojechałem w niedzielę, już ziemniaki powschodziły, także był gdzieś czerwiec, nawozy były przygotowane, tak sobie przy tych ziemniakach dróżką (pamiętam właśnie te wydarzenia), te wydarzenia to są dla mnie takie żywe, że... (idę i tak). A w poniedziałek miałem siać nawozy. I słyszę w sercu swoim taki głos: „To tak pragniesz mi służyć?” (...) „To tak pragniesz mi służyć?” Słyszę taki, wyraźny taki głos proszę pana w swoim sercu: „To ty będziesz jadł zdrowe a twój brat, siostra, koleżanka, kolega będzie jadł [zatrute – *P. F.*]. Nawozy zostały, nie zasiałem na te ziemniaki nawozu, no bo jak człowiek no pragnie coś czynić a szczerze to zaczęło się od ziemniaków a przez następne lata doszło do zupełnej rezygnacji nawet na użytkach zielonych i tak jest do dzisiaj, tak jest do dzisiaj (Franciszek, s. 25).

Tradycyjna chłopska metafizyka, skoncentrowana na ziemi, jej sprawczej podmiotowości – raz błogosławionej, raz przeklinanej – zostaje tu wzmocniona metafizyką religijną, katolicką. Praca na roli, obrabianie ziemi staje się dla pana Franciszka modlitwą, rozmową z Bogiem. Wykorzystywanie w tej pracy koni i siły własnych mięśni – tak dalece, jak to możliwe – zostaje także wpisane ten religijny wymiar. Jest kolejną zwrotką na co dzień praktykowanej modlitwy. W tej modlitwie niezwykle ważne są słowa, nadawane im znaczenia i wywoływane nimi skojarzenia:

Ja nie mam wątpliwości, ziemia musi być, no... pieczołowicie obrobiona, też za grubiańskie słowo, z miłością musi być ziemia doglądana... i wtedy ona będzie rodzic, będzie wdzięczna za to, co człowiek dla niej czyni (...)

Z niepokojem patrzę na to, że zanikają prawdziwi gospodarze, bardzo często ziemia jest... podchodzi się do niej w ten sposób, żeby ją tylko, brzydkie słowo, wydoić, wyciągnąć z niej jak najwięcej płodów/ Ale pracuję nad tym, żeby słowo produkcja / to słowo produkcja nie powinno mieć miejsca w rolnictwie, bo tu nie ma produkcji, na taśmie jest produkcja, a tu człowiek ma współpracować ze Stwórcą i wydobywać to, co w tej ziemi zakodował i pomnażać ewentualnie przez swoje zaangażowanie serca, umysłu, no i pracy (Franciszek, s. 30).

Jeszcze inną jest odmowa występowania o dopłaty unijne, motywowana niechęcią do ingerencji w wolność gospodarowania, reglamentowanie wielkości produkcji itd.

[P]o wejściu do Unii po tym, co się zaczęło dziać z polską wsią / nie wiem, czy ja zostaną przez pana dobrze zrozumiany i przez wielu ludzi może nie jestem rozumiany, ale to nastąpiło zupełne odebranie godności rolnikowi, rolnik przestał być gospodarzem, przestał być gospodarzem, wmówiono mu, właściwie nie tylko wmówiono, tak zorganizowano życie gospodarza, że to się w mojej głowie nie mieści, że jak mu się nie dopłaci to on nie będzie w stanie sam siebie i rodziny utrzymać, dla mnie jest to nie do przyjęcia (Franciszek, s. 11).

Jak silne musiały być przekonania mojego rozmówcy – tu cytuję jedynie wyimki z rozbudowanych struktur argumentacyjnych powracających w jego opowieści – skoro ponad dekadę po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, na którym to polscy rolnicy bezpośrednio zyskali jak żadna inna grupa społeczna, podtrzymuje on tak radykalne negatywne zdanie o unijnej polityce rolnej. Z innego passusu dowiadujemy się, że był nawet gotów do rezygnacji z certyfikowania swojej produkcji jako ekologicznej, bo oznaczało to konieczność podporządkowania przepisom, które uważał za naruszające jego godność i wolność.

Opowieść pana Franciszka jest tak niezwykła, tak przesycona religijną metafizyką – a jego postawa tak radykalnie bezkompromisowa – że nasuwa się pytanie, jak jego gospodarstwo, wcale niemałe jak na polskie warunki, może w ogóle funkcjonować w dzisiejszej rzeczywistości ekonomicznej. I mnie nasuwało się ono w trakcie wywiadu. Odpowiedzi mojego rozmówcy rozchodziły się jakby w dwóch kierunkach. Wskazywał, że jego żona, lekarka, zarabia poza gospodarstwem, że syn, który ma już swój kawałek ziemi, nie podziela radykalizmu ojca i korzysta z unijnych dopłat, że wreszcie zdarzały się sytuacje, gdy w obronie przed szkodnikami niszczącymi plony pan Franciszek zmuszony był zastosować jakieś środki ochronne. To jednak – i sposób, w jaki to mówił – pokazuje, że to jedynie małe uzupełnienia do wcześniej zarysowanego

obrazu, żadna jego istotna korekta. Okazuje się bowiem – i to była druga część odpowiedzi – że pan Franciszek na swoje ekologiczne produkty ma grono stałych, wiernych odbiorców, przekonanych o ich wyjątkowej jakości smakowej i zdrowotnej. Ilustruje to słowami jednej ze swoich klientek: „Panie Franiu, ja już 20 lat takiej kapusty nie jadłam”. Ale pierwszym i najważniejszym odbiorcą tych płodów jest własna ośmioosobowa rodzina – od mleka, masła i chleba, po mięso i wędliny – niemal wszystko, co pojawia się tam w lodówce i na stole, jest własne. Jak się okazuje postawa ponowoczesnego konsumentckiego „ekologizmu” żywieniowego (którego popularność w Polsce wyraźnie ostatnio rośnie, choć zapewne daleko nam jeszcze do zachodnioeuropejskiej średniej) wspierać może najbardziej radykalny i żarliwy tradycjonalizm – i odwrotnie.

* *
*
*

Po sadowniczym gospodarstwie pana Waldka zostały wspomnienia – i poczucie życiowej porażki. Pan Franciszek i pani Klara mają już swoich następców, wiedzą i widzą, że ziemia, z którą związali swoje życie – i która związała ich życie – trafi w dobre ręce. Uderza oczywistość tego dziedziczenia, tego następstwa pokoleń. To, że wśród kilkorga dzieci znajduje się ten czy ta, która wchodzi – z wyboru, przypadku, rodzinnego przymusu, życiowej konieczności albo jeszcze inaczej – w trwałą sojusz z ziemią, w „chłopski los”.

Już nie dzieje się tak zawsze, ale tam, gdzie – jak w naszych dwóch przypadkach – to następuje, wyraźnie widzimy, że przy całym zróżnicowaniu, biograficznym i kulturowym niepodobieństwie polskich rolników – do ich dziadków, rodziców i do siebie nawzajem – ziemia potrafi odzyskać swoją magiczną, sprawczą moc. I przypomina, żeby życiu nadawać rangę losu – by zamknąć te rozpoznania myślą Wiesława Myślińskiego, od której je rozpocząłem.

BIBLIOGRAFIA

- Abu-Lughod Lili. 1991. *Writing Against Culture*. Pierwodruk, w: Richard G. Fox. 1991. *Recapturing Anthropology: Working in the Present*. Santa Fe: School of American Research Press.
- Bukraba-Rylska Izabella. 2008. *Socjologia wsi: przedmiot, rozwój, metody*, w: *Socjologia wsi polskiej*. Warszawa: PWN.
- Chałasiński Józef. 1938. *Młode pokolenie chłopów polskich*. Warszawa.
- Kaźmierska Kaja (red.). 2012. *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia tekstów*. Kraków: Nomos.
- Kaczorowski Andrzej (red.). 2010. *„Solidarność” Rolników 1980–1989*. Warszawa: Fundacja „Kasa Nadziei”.

- Sowa Jan. 2011. *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*. Kraków: Universitas.
- Leder Andrzej. 2014. *Prześlona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*. Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej.
- Mazurek Małgorzata. 2010. *Spółceństwo kolejki. O doświadczeniach niedoboru 1945–1989*. Warszawa: Wydawnictwo Trio.
- Myśliwski Wiesław. 2004. *Kres kultury chłopskiej*. „Twórczość”, 4 (za: „Gazeta Wyborcza”, 22–23 maja).
- Myśliwski Wiesław. 2008. *Kamień na kamieniu*. Kraków: Znak.
- Obirek Stanisław. 2015. Recenzja: Leder Andrzej. *Prześlona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*. Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej 2015. „Zagłada Żydów. Studia i Materiały”, 11.
- Sulima Roch. 1992. *Słowo i etos. Szkice o kulturze*. Kraków: Fundacja Artystyczna Związku Młodzieży Wiejskiej Galicja.
- Szczepeński Jan. 1993. *Polskie losy*, Warszawa: Polska Oficyna Wydawnicza BGW.
- Wasilewski Jacek. 1986. *Spółceństwo polskie – spółceństwo chłopskie*. „Studia Socjologiczne”, 3(102).